



## KRYSTYN PLEWKO „KRYSTYN”



### Krystyn Plewko

#### PSEUDONIM

„Krystyn”

#### STOPIEŃ

kapral podchorąży, dowódca drużyny

#### FORMACJA

kompania szturmowa „Stefan”

#### DZIELNICA

Śródmieście Północ

[Zobacz biogram](#)

Krystyn Plewko, pseudonim „Krystyn”. Rocznik 1926, urodziłem się w Warszawie i tu mieszkam do chwili obecnej.

- W czasie Powstania był pan młodym chłopakiem tuż po maturze, w jakim zgrupowaniu pan walczył?

Początkowo walczyłem jako dowódca drużyny ochrony sztabu IV rejonu Warszawa Śródmieście Północ, to jest od Alei Jerozolimskich mniej więcej do Królewskiej, od Towarowej do Nowego Światu. Później [walczyłem] w kompanii szturmowej „Stefan”, która następnie weszła w skład batalionu „Rum”. W tych oddziałach dotrwałem do końca Powstania.

- Co pan robił przed 1 września 1939 roku?

Przed pierwszym wrześniem skończyłem pierwszą klasę gimnazjalną w Gimnazjum Górskiego w Warszawie przy ulicy Górskiego i spędzałem wakacje jak każdy chłopak w tym wieku. Pewne pomruki zbliżającej się do nas wojny były przede mnie obserwowane z okazji mego pobytu na obozie YMCA w Mszanie Dolnej, co bardzo miłe wspominał. Mianowicie dowództwo obozu młodzieżowego w lipcu 1939 roku w nocy zorganizowało nagłą, niespodziewaną próbę ewakuacji, tłumacząc tym, że całkiem blisko, za górami jest Słowacja, a na Słowacji oddziały niemieckie. Może więc w razie wybuchu wojny jest potrzebne przeciwczenie takiego zdarzenia. To może jest również istotne, że mając trzynaście lat, starałem się [wszystko wiedzieć], czytałem gazety, słuchałem radia. Pewne wrażenie, mocne, spowodowało na mnie wysłuchane przez radio przemówienie ministra Becka z naszego Sejmu, w którym mówił, że najcenniejszą rzeczą w życiu narodów jest honor, a także rozmowy moich rodziców o zbliżającej się możliwości wojny. Oczywiście, nikt nie wiedział, kiedy, ale że taka możliwość jest. [Widziałem] przygotowania do takiego zdarzenia, wydaje mi się, [że] rozsądne. Ojciec kazał sobie uszyć mundur wojskowy połowy, zgromadził jedzenie.

- Kim był ojciec?

Lekarz chirurg, ordynował w Szpitalu Śródmiejskim na Solcu.

- Został zmobilizowany?

Został zmobilizowany w pięć czy w siedem dni po wybuchu wojny. Jeszcze przez pierwsze dni miał dyżury między innymi na Dworcu Wschodnim, to zapamiętałem, bo wrócił zbulwersowany straszliwą masakrą, wieloma rannymi, zabitymi na Dworcu Wschodnim, gdzie dyżurował. Gdzieś 7 września odprowadziłem ojca do CIWF-u na Bielanach. Tam formował się szpital wojenny, wojskowy, który potem wyjechał z Warszawy i ojciec był ordynatorem w tym szpitalu, a potem w czasie wojny nawet i komendantem tego szpitala. Wtedy widziałem ojca ostatni raz.

- W ogóle ostatni raz?

Tak, dlatego że zmarł w Egipcie w 1944 roku i tam jest pochowany, ale miałem szczęście odnaleźć jego grób w Tel-el-Kebir Egipcie na wojskowym wojennym



- **Słyszał pan, co dalej się z nim działo?**

Tak. Ojciec przeszedł kampanię wrześniową ze szpitalem. Przekroczył około 17 września granicę węgierską, został internowany na Węgrzech. Przesłał kartkę jeszcze w październiku, po niemiecku *Ich bin gesund und begrüße Innen*. Czyli „Jestem zdrowy i pozdrawiam was”. Potem była korespondencja z ojcem. Listy od ojca mam zachowane, przynajmniej niektóre z nich. Ojciec jako lekarz miał pewną swobodę poruszania się, zgodnie z Konwencją Genewską i wykorzystywał to do przerzutu polskich oficerów do Francji w okresie 1939-1940. Potem był w karnym obozie internowania w okolicach miasta Pecs i w Funf Kirchen. To było blisko granicy jugosłowiańskiej. Uciekł do Jugosławii i potem prawdopodobnie przez Grecję, Turcję dostał się do Jerozolimy. Pracował w szpitalu wojskowym w Jerozolimie. Mam jego legitymację z tamtego okresu. Potem [pracował] w Egipcie w szpitalu wojskowym. Udało mi się z okazji pobytu polskich wojsk w Egipcie nad kanałem Sueskim po wojnie izraelsko-egipskiej dotrzeć do komendanta szpitala. On odszukał grób ojca i potem inni znajomi [mi pomogli], dostałem całą dokumentację i pojechałem kiedyś z wycieczką do Egiptu, sto pięćdziesiąt kilometrów przez pustynię, dotarłem do grobu ojca. Został pochowany na brytyjskim cmentarzu wojskowym.

- **Zlokalizował pan sam grób?**

Tak. Byłem, modliłem się nad grobem ojca. Powiem, że to jest ciekawostka, że armia brytyjska, w skład której wchodziły polskie oddziały, posiada w Anglii bardzo bogate archiwum wszystkich żołnierzy brytyjskich, w tym polskich. Napisałem tam, dostałem bardzo szczegółowy życiorys ojca, sięgający jeszcze lat pierwszej wojny światowej i późniejszych. Przesłali mi także oznaczenia wojskowe, wojenne mojego ojca. Dysponowałem pewnym dokumentem i innymi zachowanymi dokumentami, wyniesionymi przez matkę z Powstania. Opracowałem na życzenie Polskiego Towarzystwa Lekarskiego biogram ojca, który został opublikowany w księdze o lekarzach poległych i zmarłych w czasie drugiej wojny światowej. Ta sprawa jest szczegółowo przedstawiona. Ojciec był między innymi w dywizji generała Lucjana Żeligowskiego i brał udział w 1920 roku w wojnie polsko-bolszewickiej.

- **Został pan z matką, był pan trzynastoletnim chłopcem. Z czego się utrzymywaliście podczas okupacji?**

Były pewne zapasy, pomagali lekarze, koledzy ojca, jakieś drobne pieniądze pochodziły z tego źródła. Były pewne zapasy pieniężne, które były stopniowo upłynniane, ale pod koniec wojny było już na tyle ciężko, że musiałem podjąć pracę, do czego wróć.

- **Czy matka pracowała?**

Matka nie pracowała od kilku lat przed wojną, ani w czasie wojny. Myślę, że pewną formę pomocy ofiarowywały także organizacje podziemne. Mielśmy bardzo duże mieszkanie na Rakowieckiej 41a, sześciopokojowe, ogromne, nowoczesne. Matka dwa pokoje wynajmowała, więc stąd też był jakiś dochód. Próbowaliśmy coś handlować, ale mnie to nie wychodziło. Natomiast zadała pani pytanie, jak to właściwie przebiegało. Otóż może byłby ważny okres samego początku wojny. Mieszkaliśmy na Nowym Zjeździe pod numerem cztery i ojciec, idąc już na wojnę przykazał matce: „Słuchaj, przenieś się do Śródmieścia, do swojej mamy - na ulicę Wilczą, bo tutaj jest blisko Zamek, tu jest most Kierbedzia, będą bombardowania, może być nieszczęście”. I tak się stało. Przenieśliśmy się do babci na ulicę Wilczą 43, tam jakoś żyliśmy w czasie oblężenia Warszawy. Może to było ważne, że mój ojciec przygotował zapasy jedzenia - cukru, mąki, konserw, szynki w puszkach, smalcu, makaronu. Można było się z tego utrzymywać, jeść. Ważnym zdarzeniem było to, że 25 września, kiedy były największe bombardowania Warszawy w czasie oblężenia, niemiecka bomba trafiła w oficynę domu. Mniej więcej jedna czwarta mieszkania mojej babci została zburzona, włącznie z kuchnią. Mieszkanie właściwie nie nadawało się do zamieszkania. Wróciliśmy na Nowy Zjazd już na stałe. Dom stał, nawet szyby nie były powybijane, natomiast były szpary w ścianach od wybuchu bomb i na przykład z mojego pokoju na klatkę [schodową] były dwucentymetrowe szpary. W rezultacie, po pewnym czasie przenieśliśmy się do mieszkania na ulicę Rakowiecką 41a, gdzie mieszkaliśmy do wybuchu Powstania. To mieszkanie zostało potem spalone. Co było najważniejsze? Moja matka doszła do wniosku, że najważniejsza dla mnie jest kontynuacja nauki. Przeniosła mnie w październiku 1939 roku z [Gimnazjum] Górskiego do [Gimnazjum] Mickiewicza. To było gimnazjum państwowe. Tam kontynuowałem naukę. Nauka była prowadzona pod filią klasy ósmej szkoły podstawowej, drugiej gimnazjalnej, dlatego że w ustroju szkolnictwa niemieckiego była ośmioklasowa szkoła podstawowa. [Gimnazjum znajdowało się] na ulicy Traugutta róg Krakowskiego Przedmieścia. Jako ciekawostkę powiem, że mój ojciec uczył się w tym gimnazjum jeszcze przed pierwszą wojną światową, w tym samym budynku. Potem już trzeba było znaleźć inną formę nauki. Władze Polski Podziemnej zorganizowały tak zwane Studia Przygotowawcze do Szkół Drugiego Stopnia, to chyba tak się dziwnie nazywało. Lekcje szkolne odbywały się w budynku Architektury na Koszykowej i tam ukończyłem trzecią i czwartą klasę gimnazjalną, a więc do roku 1942. Nie miałem większych kontaktów z podziemiem, ale docierały gazetki, różne rzeczy.

- **Jednak w konspirację wszedł pan poprzez Szare Szeregi.**

Dopiero w 1942 roku. Wtedy pamiętam, na korytarzu szkolnym, w maju 1942 roku zaczepił mnie kolega klasowy, Staszek Bontemps, potomek jakiegoś francuskiego żołnierza armii Napoleona, który mieszkał w Warszawie. Bywał tam i ogromne wrażenie robił na mnie Krzyżem Wirtuti Militari jakiegoś jego pradziada z owego okresu, który wisi na ścianie. Powiedział: „Słuchaj, Krystyn, czy byś się nie zaangażował w jakąś działalność podziemną? Powiedziałem „Tak, oczywiście”. „To cię zapraszam na rozmowę”. Początkowo, nazywam to stażem konspiracyjnym, dlatego że w ramach działającej przy Trzeciej Warszawskiej Drużynie Harcerzy przy Gimnazjum Mickiewicza, o dużych tradycjach i dobrej kadrcie, zorganizowano grupę młodych ludzi, miałem wtedy szesnaście lat, którzy dostali zadanie. Pamiętam, siedziałem na ulicy Wolskiej na jakimś zbozcu ulicy i notowałem ruch pojazdów wojskowych niemieckich zdążających na wschód. Moim obowiązkiem było notowanie ich liczby, rodzaju, a także symboli wymalowanych na bocznych ścianach samochodów czy ciężarówek, które wskazywały na przynależność pojazdu do określonego rodzaju wojska czy oddziału niemieckiego. To było istotne z punktu widzenia zadań wywiadowczych, które pełniła Armia Krajowa dostarczając informacje między innymi poprzez Anglię dla Rosji, jakie przemieszczenia armii [niemieckiej] się odbywają. Plus jakieś inne drobne rzeczy, spisywanie nazwisk folksdojców z list lokatorów, w domyśle, jeśli mieli niemieckie nazwiska i imiona. Tak to trwało do listopada 1942 roku, kiedy zostałem zaproszony do złożenia przysięgi już jako żołnierz Armii Krajowej i zostałem skierowany do szkoły podoficerskiej, młodszych dowódców, to się nazywało, nie pamiętam już dokładnie. Skończyłem szkołę w stopniu starszego strzelca w połowie 1943 roku, na wiosnę i dostałem wtedy zadanie szkolenia grup strzeleckich. Dwie były na Woli, jedna na Pradze, złożone z pięciu chłopców w moim wieku, z którymi, poza pogadankami politycznymi, miałem jeszcze obowiązek nauczania czytania map, musztry, celowania z patyka, tak zwany „trójką błędów”, nauki, niestety nie na prawdziwej broni, ale na odpowiednich instrukcjach i rysunkach, posługiwania się bronią, rozbierania jej, poznania części, z jakich się składała.

- **Drużyny strzeleckie nie miały broni?**

Nie miały wtedy. Broni było mało i zastrzeżona była do rozmaitych innych rzeczy. W lecie 1943 roku zostałem skierowany do Szkoły Podchorążych im. płk. Leopolda Lisa-Kuli. Uczyłem się i uczyłem innych i w czerwcu 1944 roku zdałem egzamin podchorążacki. Było to o tyle istotne, że zgodnie z polskimi przepisami wojskowymi podchorążym mógł zostać tylko ten, kto miał maturę. Maturę zdałem w maju 1944 roku, więc byłem już uprawniony do zostania kapralem podchorążym. rzeczy. Byłem bardzo wzbogacony w informacje polityczne. W takim stopniu byłem potem w czasie Powstania. Na tym sprawa się nie wyczerpywała, dlatego że w ramach konspiracji miałem różne inne zadania. Wśród tych zadań, dość ciekawych, była produkcja butelek zapalających. Butelka zapalająca mojej produkcji była wypełniona



była mieszanina kalichlorku z cukrem pudrem. Działanie butelki było takie, że w przypadku jej zadecenia i strzęcenia kwas siarkowy dostawał się do stopki i powodował zapalenie mieszaniny kalichlorku i cukru i zapalenie się całej butelki. Można było ze względów bezpieczeństwa zapalniczki przechowywać oddzielnie, przed użyciem nasunąć i dopiero rzucać. Nie wymagało to jak „koktajle Mołotowa” knota, który się zapalało. [Butelki] były opatrywane skrótami CDD, co można tłumaczyć „Całkiem do...”. To tak na wszelki wypadek, bo nie było wiadomo, jak. To było jedno z moich osiągnięć. W rezultacie na Żoliborzu w piwnicy naszej znajomej było przygotowanych z dwieście takich butelek.

- **Nie było żadnych wypadków?**

Nie, dlatego że same butelki nie mogły się zapalić, chociaż przechowywanie w piwnicy benzyny w kanistrze też nie należy do rzeczy bezpiecznych. Ale nie było innego wyjścia. Na pewno nie w mieszkaniu. Innym zadaniem, którego się podjąłem, było przygotowywanie trucizn, z których można było skorzystać w przypadku zagrożenia aresztowaniem i torturami przez Niemców, które mogły spowodować wypadki. Były to ampułki szklane, typowe, w których są robione zastrzyki. Dostałem ampułki z dość długimi czubkami, otwarte, przez które można było nasypać [zawartość]. Tam było sypane cyjankali. Tutaj mały wręt, skąd cyjankali. Otóż, mój kuzyn, mieszkający nade mną, chemik, bardzo zdolny, późniejszy profesor, wykorzystywał cyjankali jako półprodukt do produkcji słodzika, takiego jak dzisiaj używamy. To było słabe, trzeba było pół łyżeczki wysypać. Słodzik nazywał się Dulcyna. [Mój kuzyn] dysponując cyjankali, odstąpił mi część. Sypałem do środka przez odpowiednie papierowe urządzenie, potem zatapiałem rurkę nad płomieniem gazowym, a potem moja mama wazywała ampułki do maskotek, niedźwiadków, laleczek.

- **To mama też była włączona do konspiracji?**

Mama była bardzo zaangażowana w konspirację. Brałem również udział w akcji zbrojnej. Nie mogę dokładnie zlokalizować, kiedy to było, ale to było prawdopodobnie na jesieni 1943 roku, w egzekucji jakiegoś donosiciela Niemca albo Polaka, nie wiem po dzień dzisiejszy, chociaż sprawa była opisywana w „Stolicy”. Moje zadanie było dzieciennie proste. Egzekucję wykonywał dowódca, „Mały Janek”. Zastrzelił [donosiciela] z pistoletu na ulicy Elektoralnej, niedaleko placu Bankowego, parę domów dalej. W tym momencie moim obowiązkiem było przyprowadzić mu rower, na którym on potem wyjechał. To był cały mój udział, a samemu trzeba było się szybko ewakuować. Natomiast z okresu mojej działalności w podziemiu wojskowym była przewidywana akcja zbrojna. W związku z tym mieliśmy się stawić, zresztą w mieszkaniu, w którym w piwnicy były butelki z benzyną, na ulicy Krechowickiej, przeczniczy Słowackiego, na Żoliborzu i czekać na dostarczenie nam broni, którą miała przywieźć pewna grupa, która pojechała na Bielany. Nie wiem dokładnie, w jakie miejsce. Czekaliśmy, czekaliśmy, w pewnym momencie wpada jeden z kolegów, mówi „Słuchajcie, wpadka! Chłopaki broń ze skrytki wyjęli, ale pojawili się żandarmi, wywiązała się strzelanina. Uciekliśmy przez ogródki działkowe. Nasz dowódca drużyny, Janek, został ciężko ranny. Leży gdzieś w bruzdzie na polach burakowskich. Trzeba coś zrobić”. Jakies telefony w umówione miejsca. Po chwili na ulicy Słowackiego zjawia się samochód osobowy z naszymi starszymi kolegami, już dwudziestolatkami, uzbrojonymi w pistolety maszynowe, którzy mieli się udać w tamte okolice, żeby ewakuować rannego. My natomiast dostaliśmy zadanie, było nas trzech, zaraz powiem, kto, żeby również udać się na piechotę ulicami i przebadać, jaka jest sytuacja. Dostaliśmy telefon alarmowy i idąc ulicą Słowackiego, dochodząc do Potockiej, tam na rogu, dyktowałem telefon kolegom, którzy pisali. W tym momencie nadjechała „buda” żandarmów niemieckich. Słowo „buda” nie odpowiada rzeczywistości, to był w gruncie rzeczy duży samochód transportowy, z ławkami wzdłuż, otwarty, bez żadnego przykrycia. Na ławkach siedzieli żandarmi z pistoletami. Zatrzymali się, zrewidowali [nas], zapytali, co i jak i w rezultacie wsadzili nas między siebie do pojazdu. Pojazdem przewieźli nas na plac Inwalidów, tam się mieścił posterunek granatowej policji, gdzie nas zamknęli w zakratowanych celach i sami odjechali. Rzecz zabawna... zabawna, trudno powiedzieć... Jadąc ulicą Słowackiego widziałam mnie z okien tramwaju moja kuzynka, Basia Filarska z domu Wąsik, późniejszy profesor KUL-u, archeolog i historyk. Czym prędzej zawiadomiła moją mamę: „Słuchaj, Krystyn jest aresztowany. Widziałam go, jak był wieziony”. Siedzieliśmy na posterunku. Po jakimś czasie przyjechali żandarmi, kazali nam wynieść do posterunku jakiś odbiornik. Jak się okazało, odbiornik, który został zabrany w domu, w którym była skrytka z bronią. Oni mieli intuicję, czuli, że nasza trójka jest jakoś związana, ale nie mieli żadnych dowodów, jak potem się okazało. Stamtąd odwieźli nas na posterunek samochodem żandarmerii. Na rogu Żelaznej i Chłodnej był posterunek niemiecki, potem bardzo broniony w czasie Powstania. Wchodząc do tego budynku moi koledzy spytali się jakiegoś Niemca, co z nami będzie. On krótko, wężłowato, po niemiecku powiedział: „Będziecie rozstrzelani”. Proszę pamiętać, że to był drugi luty 1944. Pierwszego lutego zginął w zamachu Kutschera. Niemcy byli maksymalnie zdenerwowani i agresywni. To było bardzo prawdopodobne, że tak się mogło skończyć. Stamtąd znowu zostali wezwani policjanci, którzy mieli nas przetransportować tramwajem. Tramwaje miały wtedy środkową część do siedzenia i wystające części zewnętrzne. Transportowali nas skutych kajdankami. To nie były prawdziwe kajdanki, takie jak widzimy teraz, to były po prostu łańcuszki stalowe zamykane na kłódkę. Moi dwaj koledzy byli razem skuci, ja osobno. Kto to był – otóż jeden z nich Waclaw Gluth-Nowowiejski, syn pułkownika Wojska Polskiego, którego ojciec był w niewoli. Był w naszym oddziale, w moim wieku i pisze o tym zdarzeniu w wydawnictwie wydanym przez „Rzeczpospolitą” pod tytułem „Pamięć '44”. Jest tam przedstawiony ten fragment historii, tylko z mniejszą ilością szczegółów. Drugi to był Bohdan Broniowski, którego też wspomina, też syn pułkownika. Kolega i można powiedzieć jego sąsiad, mieszkali na Forcie Mokotowskim, też się znali. Tę trójkę zawieźli na Szucha. Jeszcze dodam, że była rozmowa z policjantami: „Panowie, wypuście nas. Takie młode chłopaki, będziemy jechać na Szucha”. „A my nie możemy, bo my mamy rodziny, jak byśmy was wypuścili, to by nas zamknęli albo rozstrzelali. Mowy nie ma”. Ale jeden mówi do mnie „Mogę panu pomóc. Niech tylko pan mi podyktuje swój adres, to ja rodzinę zawiadomię, że pan został zawieszony na Szucha”. Okazało się, że po paru dniach taka informacja dotarła do mojej matki, kiedy już byłam na wolności, co się później okaże, z mojej opowieści. Trafiliśmy do podziemi, powiem, że pięćdziesiąt lat po tym zdarzeniu z Gluthem-Nowowiejskim wybraliśmy się tam dokładnie 2 lutego obejrzeć, jak to było. Tam były tak zwane „tramwajki”. To były pokoiki, gdzie stały ławy, na których się siedziało tyłem do drzwi. [To była] przechwalnia ludzi do przesłuchań. Na korytarzu mnóstwo ludzi stojących pod ścianą, twarzą do ściany. Zapamiętałem ogromnie wstrząsającą historię, mianowicie na moich oczach Niemiec uderzał jakiegoś młodego człowieka pięścią w twarz, masakrując [ją], mówiąc *Du bist Jude!* „Jesteś Żydem!” A on mówił Nein! Znowu [uderzał] i tak dalej, było katowanie. Tam siedzieliśmy. Mijały godziny, było coraz mniej ludzi. I na korytarzu zniknęli i z „tramwajków” byli wywoływani po nazwisku. W pewnym momencie została nasza trójka. Zjawia się jakiś Niemiec, wywołuje Gluth-Nowowiejskiego imieniem jego brata, bo on miał dokumenty brata, który był strażakiem w Hotelu „Polonia”. Gluth-Nowowiejski opisuje to całe zdarzenie. Między innymi powie do tego Niemca: „Jak pan nie wierzy w moje dokumenty, niech pan zadzwoni do Hotelu i zapyta, czy jestem tam”. On tam zadzwonił, okazało się, że brata nie było, [więc] uwierzył. Potem wziął mnie. Miałem oryginalne dokumenty jako autoschlosser w warsztacie na Żelaznej, reperującym niemieckie samochody. Właścicielami chyba byli panowie Wysoccy, dwaj bracia. [Miałem] oryginalne dokumenty, musiałem tam raz na miesiąc przychodzić, podpisywać listę obecności. Dzwoni gestapowiec, ale jest godzina wpół do szóstej wieczorem, nikt nie odbiera. Prawdopodobnie warsztat nieczynny. Trzeci chłopak, Broniowski, miał dokumenty ucznia szkoły rolniczej, gdzieś na Mokotowie. W momencie, kiedy nas trzech przesłuchali, Niemiec mówi: „To idźcie sobie, jesteście wolni”. Dostaliśmy przepustkę, wypuszczono nas z budynku. Powiem szczerze, że miałem uczucie, które do dziś pamiętam, że idąc czy biegnąc, biegnąc, bo zbliżała się godzina policyjna, poruszam się pół metra nad ziemią. Lecę, nie chodzę, tylko fruwać w uczucie. Trafiłem do domu. W rezultacie matka doszła do wniosku, że muszę zniknąć, że mogą być jakieś reperkusje tej rzeczy. To była ogromna doza szczęścia, nieprawdopodobna, bo okoliczności i zdarzenia i fakty, które miały [wtedy] miejsce – rozstrzelali wtedy kilkuset Polaków w różnych miejscach Warszawy, a w szczególności w ruinach getta. Albo można było w najlepszym razie trafić na Pawiak, stamtąd do obozu koncentracyjnego.

- **Byliście urodzeni w czepku.**

Dokładnie, jestem urodzony w czepku. Tak, że miało to potem swoje konsekwencje, dlatego że moje mieszkanie było nasycone najrozmaitszymi konspiracyjnymi działaniami. Moja matka razem ze swoimi przełożonymi doszła do wniosku, że jednak trzeba mnie ewakuować, odciąć od środowiska konspiracyjnego, w którym dotychczas działałem. Pozostali dwaj też [musieli być ewakuowani]. Jest to istotne zagrożenie dla bezpieczeństwa konspiracyjnego naszego mieszkania. Ale dlaczego tak się działo, że to było zagrożeniem? [...] Polegało [to na tym], że w moim mieszkaniu, ale nie tylko w moim, odbywały się tak zwane tajne komplety, w roku 1943 i 1944, w których przerabiałem pierwszą i drugą klasę licealną. Mieszkanie było duże, jadalnia też duża, z wielkim stołem. Mogło nas tam koło dziesiątki mieszkać. Nauczyciele przychodzili. Lekcje odbywały się trzy razy w tygodniu. Trwały od rana do wczesnego popołudnia i były prowadzone bardzo na serio, to znaczy wymagania, program, lektury były przerabiane bardzo skrupulatnie. Miałem frajdę, że zdawałem maturę we własnym mieszkaniu.



Tak. To były zapiski szkolne, nauka matematyki, wzory, rozwiązywanie zadań. Naszym nauczycielem był, warto wymienić to nazwisko, profesor Jan Wysocki, matematyk, który wychował pięć pokoleń uczniów. Był nauczycielem matematyki [przez] kilkadziesiąt lat w Gimnazjum Mickiewicza, tak że uczył dziadków, ojców, synów, wnuków, a może i prawnuków. On jeszcze uczył i działał po wojnie. Była to wspaniała postać, wspaniały człowiek. Z maturą wiąże się również drobiazgi. Pierwsza rzecz – moja mama pomagając nam miała bardzo skuteczny sposób, chociaż naprawdę nie było żadnych kantów, zaopatrując w gazetki pilnujących nas nauczycieli [w czasie] egzaminów z matematyki, z fizyki, z polskiego. Oni siedzieli w klubowych fotelach, które były w dużym pokoju, my przy stole pisaliśmy i byliśmy zaabsorbowani tym, co się dzieje. To był jeden z fragmentów działalności w naszym mieszkaniu. Następną sprawą jest zbudowane w tymże mieszkaniu tajne archiwum wyposażone w skrytki konspiracyjne.

- **Kto to zrobił?**

Te skrytki zbudował pan Julian, którego nazwiska w tej chwili nie pamiętam. W notatkach, które przekazałam, jest moja pięciostronicowa relacja, jak były rozmieszczone, jak były zbudowane i przez kogo. To jest jeszcze opisane w książce „Akcja skrytki” redaktora Smoczyńskiego z „Kuriera Polskiego” i [tam] jest fragment poświęcony temu archiwum, tym skrytkom. Były dwie skrytki zbudowane w ścianach, w szafach, [w szafie] wbudowanej w mur. Ścianki boczne były odkręcane, było sporo miejsca na schowanie różnych rzeczy. [Skrytka była] w dniu bardzo dużego kredensu, żeby się do niej dostać, trzeba było wyjąć zastawę, odkręcić śruby. [Tam] można było wkładać [różne rzeczy]. Były podręczne skrytki w taborecie, w wydrążonym wałku do ciasta. Tam były przechowywane różne rzeczy, ale przede wszystkim, głównie literatura konspiracyjna, czasopisma od „Biuletynu Informacyjnego” przez różne inne czasopisma. Od prawa, prawicowim, endeckim czasopismem był „Szaniec” Narodowych Sił Zbrojnych, do pepeerowskiego „Gwardzisty”, ale [były] także instrukcje użycia broni, czasopisma literackie.

- **Czasopisma były w ilu egzemplarzach?**

W jednym egzemplarzu. [Był] „Nurt” czasopismo literackie, formatu A-4, inne były oczywiście mniejszego formatu. [Były przechowywane], jak sądzę, także dokumenty innego rodzaju. Teraz trzeba powiedzieć, jak w ogóle doszło do utworzenia tego archiwum, którym się opiekowała moja matka. Ja pomagałam, o mojej pomocy powiem za chwilę. Moja matka była związana z redakcją „Kuriera Porannego”. Było to czasopismo propolsudczykowskie, jeszcze w okresie pierwszej wojny światowej i Legionów Piłsudskiego, w okresie powojennym i w okresie zamachu majowego. Była również w owym okresie, jeszcze chyba przed małżeństwem z moim ojcem, sprawozdawcą sejmowym. Miała różnego rodzaju znajomości polityczne, a jej najserdeczniejszą przyjaciółką była pani Irena Miedzińska. Miedziński był pułkownikiem, legionistą, przez pewien czas ministrem Poczty i Telegrafów i chyba, o ile pamiętam, ostatnim przedwojennym marszałkiem Senatu, który potem po wojnie był na emigracji w Londynie. Pani Irena ze względu na męża i ze względu na swoją pracę dziennikarską chyba w „Gazecie Polskiej”, to było prorządowe czasopismo, miała kontakty ze środowiskiem piłsudczykowskim. Piłsudzczycy, a w Warszawie szczególnie Rydz-Śmigły, będąc internowani w Rumunii, a potem na Węgrzech, zainicjował stworzenie pewnej organizacji politycznej grupującej ludzi o nastawieniu piłsudczykowskim, złożonej z różnego rodzaju działaczy wojskowych. Jak Rydz-Śmigły przyjechał do Warszawy, działalność była skoncentrowana. Sądzę, że właśnie pani Miedzińska była osobą, która wskazała moją mamę jako ewentualną kierowniczkę tego archiwum, rekomendowała ją. Na polecenie tej organizacji, która nosiła nazwę Obóz Polski Walczącej, w skrócie OPW, specjalista od budowy skrytek w Warszawie, pan Julian [Malewski], którego sylwetka jest pokazana w książce Smoczyńskiego, podjął się [budowy skrytek]. Budowa tych skrytek trwała tydzień. Potem jeszcze jedna była dobudowana w późniejszym terminie w moim pokoju w szafie. Do moich obowiązków związanych z tym [należało] przywiezienie materiału do archiwum. Punktem kontaktowym był skład żywności w budynku „Romy” na Nowogrodzkiej. W podwórzu na parterze było wejście. Kontaktowałam się z robotnikiem w wieku lat dwudziestu paru, którego nazywano panem Stasiem, to pewnie było jego prawdziwe imię. Zawsze umorusany jakąś mąką, przynosił mi zwitek czasopism, głównie czasopism, które w większości przypadków przywoziłem do domu. Czasami moja mama [je] odbierała. Jedno zdarzenie było groźne. Mianowicie, z dwóch powodów – po pierwsze niesłychanego ścisłu, jaki był w warszawskich tramwajach w owym okresie. Tłok był, ludzie wisieli na bokach. Drugie, z młodzieńczej niefrasobliwości, lubiłem jeździć na czymś, co było nazywane „cyckiem”. Tramwaje miały zderzaki na zewnątrz i można było stanąć jedną nogą na zderzaku jednego wagonu, drugą nogą na zderzaku drugiego wagonu i trzymając się szyb czy innych rzeczy i jechać tramwajem. Tak właśnie zdarzyło się, że jechałem, była już jesień, zmrok, ciemno, ulice były zaciemnione i na placu Unii Lubelskiej podbiegł niemiecki kontroler. Był to człowiek mały wzrostem, który złapał mnie za kark, wyciągnął. Oczywiście, biletu nie miałem. On był znany w Warszawie ze swojej złośliwości, nawet była rozważana jakaś próba jego zastrzelenia, jak słyszałem później. Prowadził mnie prawdopodobnie do początku [ulicy] Puławskiej przy placu, tam były *Flackkaserne*, czyli niemieckie koszary lotnicze. Prowadził mnie, trzymając mocno za kark. Musiał rękę trzymać, bo on był mały, a ja wysoki. Rozglądałem się, jak prysnąć. Po pierwsze zauważyłem, że uścisk żelaza, że to nie był taki mocny chwyt. Po drugie, mijali mnie niemieccy żołnierze, którzy tam często kursowali. Zobaczyłem, że już są dobre parę metrów za mną, jakaś grupka żołnierzy, wyrwałem się, prysnąłem koło Pomnika Lotnika i tam wleciałem w jakąś przecnicę. Uciekłem, dotarłem do domu. Gdyby się to nie udało, to oczywiście skutki byłyby [tragiczne].

- **Pan był tylko gapowiczem, czy miał pan przy sobie bibułę?**

Miałem bibułę, wiozłem właśnie. Tak. To było największe [niebezpieczeństwo]. Gdybym był gapowiczem, to pół biedy, jakaś kara, jakiś mandat. Ale tutaj w przypadku rewizji byłoby bardzo źle. Jakie były dla mnie skutki osobiste uczestniczenia w działalności archiwum? Po pierwsze, jak mało kto w Warszawie ówczesnej czytałem ogromną ilość bibuły, oczywiście, wszystkie „Biuletyny Informacyjne”, które były najważniejszym źródłem informacji. Cały wachlarz, [różne] dodatki [pozycji] były tam przechowywane. Przykładowo były przechowywane egzemplarze dwóch książek wydanych w czasie okupacji. To był „Dywizjon 303” Fiedlera i „Kamienie na szaniec” Kamińskiego. Były chyba nawet mikrofilmy tych książek. Byłem bardzo wzbogacony w informacje polityczne.

- **Ogromnie bogate było to archiwum. Czy ono przetrwało?**

Nie, spaliło się. Spaliło się w czasie Powstania. Niemcy weszli do mieszkania i palili niemalże pokój po pokoju, chociaż z sześciopokojowego mieszkania dwa pokoje nie spaliły się. Taki był układ [mieszkania]. To, co najważniejsze, spaliło się. To, co wiąże się z tym archiwum, to są dwa dokumenty, o których wiem, że [tam] były. Pierwszy dokument, który matka mi pokazała, to była koperta trochę większego formatu, koloru brązowego, opieczetowana lakiem, nie zaadresowana wcale. Mama powiedziała: „Słuchaj, to jest bardzo ważne. Dostałam to z rąk własnych marszałka Rydza-Śmigłego, to jest jego, jak powiedział, testament polityczny”. To się też spaliło, tak że zawartości tego [nie poznałem].

- **To było zalakowane?**

Było zalakowane, oczywiście nie można było znać i nie wypadało otwierać, po to było lakowane. Usiłowałem dojść do jakichś informacji, czy to był jeden egzemplarz napisany. Nie uzyskałem żadnych informacji. Porozumiałem się z redaktorem Leżeńskim, który w książce „Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym” pisze między innymi, że on wieczorami siedział i pisał. Jak zadzwoniłem do redaktora Leżeńskiego, [to] mówię: „Być może pisał swój życiorys”. Aczkolwiek on pisał wiersze i także inne rzeczy. Porozumiałem się, zresztą bezskutecznie, z panem Kristianem Waksmundzkim z Krakowa, postacią, która jest bardzo kontrowersyjna. On między innymi tworzył jakieś fundacje pamięci marszałka Piłsudskiego. Jego działalność była przedstawiana w różnym świetle, między innymi został posądzony o przywłaszczenie buławy Marszałka. Czy on coś wie? Powiedział: „Tak. Coś mi się obito o uszy”, ale podejrzewam, że to nieprawda, nie wyszło. Rozmawiałem z redaktorem Leżeńskim, on też nie słyszał. Coś takiego w mojej pamięci zostało odnotowane. Może kiedyś się pokaże, może [znajdzie się] jakiś inny egzemplarz, ale



geograficznie na emerytów i jagiellończyków, a on metalami. Czy to ze względu na nazwisko, czy ze względu na osobę, grupa Polaków, przedstawicieli społeczeństwa (bliżej nie pamiętam ich składu, ale to jest udokumentowane w rozmaitych źródłach), została przez Niemców poproszona o wyjazd samolotem do Katynia, dla pokazania odkrytych przez armię niemiecką grobów znanych [osób]. Według posiadanych przeze mnie informacji Goetel napisał dwa sprawozdania, jedno przeznaczone dla Czerwonego Krzyża albo dla Rady Głównej Opiekuńczej, RGO. To były dwie organizacje, które działały oficjalnie i przez nie to było organizowane. Drugie [sprawozdanie było] dla władz konspiracyjnych. Przeczytałem to. Jako jeden z nielicznych Polaków miałem możliwość zapoznania się z autentyczną relacją, która zresztą w zasadniczych faktach była zgodna z relacjami podanymi przez propagandę niemiecką, ale która kończyła się konkluzją, że jest to dzieło Rosjan. Dokument ten liczył kilkanaście stron, zawierał invokację, jak doszło do zaproszenia i w jakim trybie on został zaproszony i że uzyskał zgodę Władz Powstańczych, w ogólnikach. Potem [były] opis podróży, potem opis tego, co widział i co dowiedział się od ludzi, z którymi rozmawiał. To byli Niemcy, ale i chyba Rosjanie. Konkluzja kończąca [była taka], że są niezbitne dowody na to, że to jest dzieło rąk rosyjskich. Jeszcze wtedy nie było wiadomo, nie znano wszystkich okoliczności. Sprawa tego sprawozdania wracała wielokrotnie na łamach [prasy]. W trzech przypadkach [...] pisałem do autorów publikacji prasowych z pewnymi wyjaśnieniami lub sprostowaniami. W jednym z artykułów, nie pamiętam nazwisk, [...] była sprawa pierwszeństwa, które sprawozdanie - czy Goetla, czy inne - było właściwie drugie. Z kolei inny autor zeszłego roku w „Rzeczpospolitej” w dodatku „Plus Minus” zdziwił się, dlaczego UB przepytowało środowisko literackie Krakowa na okoliczność sprawozdania z tej bytności, kiedy, użył takiego sformułowania „dopiero broszura na ten temat ukazała się w 1946 roku”. A to było w 1940 [roku]. Wyjaśniałem w liście do tego autora, że Goetel z pamięci odtworzył i wydał tę broszurę w Londynie, natomiast wcześniejsze, UB widocznie chciało się dowiedzieć o stopniu rozpowszechnienia pierwszego sprawozdania. Ten dokument spalił się w naszym archiwum. Trzecią okolicznością, która wiązała się z pełnieniem funkcji groźących [niebezpieczeństwem], było to, że w tym mieszkaniu chyba od jesieni 1943 do lata 1944 mieszkał pułkownik Jan Kotowicz. [Był to] legionista, dowódca dwóch obozów internowania na Węgrzech, zagorzał piłsudczyk, który przedostał się do Warszawy. Ze względu na jego powiązania z obozem Polski Walczącej, w którym brał czynny udział, dostał kwatery w naszym mieszkaniu. Była to dla mnie niezwykle ważna osoba. Byłem pozbawiony ojca, dla mnie, siedemnaście-osiemnastoletniego chłopaka ten dojrzały mężczyzna o wielkich zasługach był autorytetem, często z nim rozmawiałem i na pewno moje rozmowy z nim miały [na mnie] wpływ. O ile pamiętam, używał wtedy konspiracyjnego określenia „Inżynier”, tak że jeśli ktoś do niego przychodził, to [pytał] „Czy zastałem pana inżyniera?” to był [tytuł] konspiracyjny, czy tylko [skrót] przed nazwiskiem. Pewnie miał jakieś dobre papiery. To też było zagrożenie. On był chyba słabo wykorzystany w konspiracji, ale, o ile pamiętam był inspektorem szkół podchorążych, ze względu na kwalifikacje, bo to był pułkownik dyplomowany. W połowie lipca został odkomenderowany jako dowódca 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, która wówczas przeważała się już na Lubelszczyznę i w ramach akcji „Burza” wyzwoliła szereg miejscowości na Lubelszczyźnie. Ze względu na związki emocjonalne, jakie były między mną a nim, nie wiem, czy odwrotnie, to postanowiłem go odprowadzić na Dworzec Wschodni, skąd miał wyjechać w Lubelskie. Wtedy również odprowadzał go ówczesny pułkownik Okulicki, późniejszy generał, który widocznie wymieniał z nim jeszcze ostatnie wskazówki, były to rozmowy, w których nie brałem udziału, poza uściśnieniem dłoni generała Okulickiego. Ze zrozumiałych względów odłączyłem się, stałem w odległości kilkunastu kroków, żeby potem w ostatnim momencie pomachać ręką. Losy pułkownika Kotowicza, który miał pseudonim „Twardy”, były dramatyczne. Został aresztowany. Tak jak na Wileńszczyźnie, jak we Lwowie, typowe [działanie, oddziały zostały] otoczone, zaproszone na rozmowy, rozbrojone. Oddziały rozbrojone, on aresztowany. Z zasłyszanej przeze mnie informacji był więziony na Zamku Lubelskim, uciekł chyba dwukrotnie, dwukrotnie był złapany. W rezultacie osądzony w trybie wojskowych sądów specjalnych, był we Wronkach i udało się go wydostać, zwolnić. Tutaj jakąś rolę odegrał późniejszy podpułkownik Steczkowski, mój dowódca z Powstania. Miałem szczęście go odwiedzić, w miejscu zamieszkania. Kotowicz miał dom w Rzeszowie, tam [były] jego żona, córka. Wymagało to wielkiego wysiłku, ponieważ musiałem pojechać z Warszawy do pułkownika Steczkowskiego, który był w Szczecinie. W Szczecinie dowiedziałem się adresu żony pułkownika Kotowicza w Rzeszowie. Od niej dowiedziałem się, gdzie on mieszka. Mieszkał pod Strzelcami Opolskimi, czyli stosunkowo niedaleko od mego ówczesnego miejsca zamieszkania w Gliwicach, gdzie był magazynierem w młynie. Tam go odwiedziłem, tam się z nim spotkałem. Był dość powściągliwy, jeśli chodzi o rozmowę ze mną. Może obawiał się, że jest pod nadzorem, prawdopodobnie chodziło o oddzielenie go od środowiska. W niedługim czasie zmarł, chyba w późnych latach czterdziestych czy na początku lat pięćdziesiątych. Był zresztą bardzo schorowany z okresu pobytu w internowaniu na Węgrzech.

- **Najwyższa pora dotrzeć do Powstania. Mówił mi pan, że zaczęło się ono dla pana wcześniej.**

Tak. Mniej więcej dwa tygodnie wcześniej, koło 15 lipca. Skontaktował mnie wówczas pułkownik Kotowicz, jeszcze przed swoim wyjazdem, z ówczesnym majorem o pseudonimie „Zagończyk”, Stanisławem Steczkowskim, który był dowódcą obszaru Śródmieście-Północ. [Obszar ten] nazywał się Rejonem IV, w skład którego przed Powstaniem wchodziły bataliony „Kiliński”, „Chrobry I”, bo potem w czasie Powstania powstał „Chrobry II” i „Łukasiński”, który został w rezultacie na Starym Mieście. Zostałem wyznaczony przez majora „Zagończyka” na dowódcę ochrony jego sztabu, który się mieścił na trzecim piętrze, Marszałkowska 125 w pracowni, o ile dobrze pamiętam pana Lachowicza czy Lechowicza, ale chyba Lachowicza, który prowadził warsztat produkcji protez – protez rąk, nóg, przepasek przepuklinowych. Lokal [był] dobry, bo tam [przychodziło] sporo klientów i nikogo nie dziwił pewien ruch. Natomiast ze względu na to, że przebywały tam osoby znaczące w hierarchii wojskowej, pułkownik tam przyjmował, robił odprawy, należało stworzyć jakąś formę ochrony. Dyżury miała grupa pięciu młodych ludzi, wyposażonych w pistolety, wśród których ja, byłem ich dowódcą. Miałem Visa. Przebywaliśmy na ogół parami. Zdarzyło się kiedyś, chwała Bogu, [że] nikogo nie było, że do tego mieszkania, zawitał dwu- czy trzyosobowy patrol żandarmerii. [Patrol] wszedł do środka, zaglądał czy nikogo nie ma. Rzecz istotną było to, że w jednym z pokoiów były zrobione kabiny do przebierania się, z zasłonami przesuwanymi na kółkach, gdzie ludzie przymierzali sobie protezy. Trzeba było stworzyć warunki intymności. Stałem za taką zasłoną z pistoletem gotowym do strzału, wyglądając przez szparę, co z tymi żandarmami. Oczywiście, gdyby któremuś do głowy przyszło, żeby zajrzeć, to on byłby trup, a ja prawdopodobnie drugi od jego kolegi, ale do tego nie doszło. Tak [było] z pewnymi przerwami, bo dojeżdżałem do domu, do matki, ale miałem dyżury, które już można traktować jako służbę przedpowstańową, mobilizacyjną. Oczywiście od samego rana, czy poprzedniego dnia już byłem w ostatnich dniach lipca, pierwszego sierpnia, na kwaterze. Przed godziną piątą, znaczącą godziną piątą, zostałem wysłany przez pułkownika, o ile pamiętam na ulicę Hożą czy Wspólną z poleceniem, meldunkiem piśmiennym. Tam mnie zastała godzina wybuchu Powstania, w tamtej części Alei [Jeruzolimskich]. Przedostawałem się ulicami... najgorsze było przekroczenie Alei Jeruzolimskich. W pewnym momencie byłem w jakiejś bramie, brama zamknięta, jakiś Niemiec, który na mnie koso patrzył, bo to wysokie buty z cholewami, bryczesy, zielona kurtka. Nie miałem broni, ale miałem finkę, którą miałem z tyłu, na pasie przypiętą, musiałem rozchylić [kurtkę] tak, żeby on zobaczył, że nie mam broni i jakoś ani on się na mnie nie rzucił, ani ja nie musiałem na niego. Potem jakimiś ulicami, przez Bracką dotarłem do kwatery. Następnego dnia była walka o ulicę Marszałkowską, dlatego, że zarówno czołgi, jak i samochody z żandarmami i Ukraińcami jeszcze mogły się poruszać Marszałkowską pomiędzy Królewską a Alejami [Jeruzolimskimi], mimo że dzielnica w zasadzie była w rękach polskich, przynajmniej ta część. Między innymi brałem udział w akcji, która polegała na obrzuceniu granatami i butelkami konwoju złożonego z kilku samochodów z Ukraińcami, którzy porzucili samochody i zajęli budynek Marszałkowska 129, więc budynek położony o dwa domy dalej [od naszej kwatery]. Do naszych zadań, ze względu na bliskość tego domostwa, rejonu, jak i z ogólnych przyczyn, należało ich stamtąd wykurzyć. Trwało to dłuższy czas, walka odbywała się na klatkach schodowych. Obrzucaliśmy się granatami. Pamiętam, mój granat zdetonował na parapiecie stróżówki mieszczącej się w bramie, potem oni ganiłi nas, musiałem się ewakuować, żeby ładnie powiedzieć, na dach. Skończyła mi się amunicja, nie mogłem już nic robić. Były to dość zacięte walki, które powodowały wyeliminowanie całej tej grupy i oczyszczenie terenu. Mówiąc w dużym skrócie, [...] głównie brałem udział w walkach na placu Grzybowskim, na ulicy Grzybowskiej, tam, gdzie były składy browaru Habermuscha i Schielego, także na Królewskiej 16, która była reduta, spędziłem jeden dzień przynosząc zreperowany karabin maszynowy, który trzeba było ręcznie przestrzelać, o czym wspomina pan Klezdiw w swojej książce „Królewska 16”. W końcowej fazie Powstania brałem udział w walkach na ulicy Chmielnej. To były ostatnie dni września. [Brałem udział] w bardzo zaciętych walkach, kiedy Niemcy chcieli odciąć Śródmieście-Północ od Śródmieścia-Południe. Dużo jednakże było poświęcone [zadaniom] osłonowym, byliśmy oddziałem, który był rzucany jeszcze w jakieś odcinki walki, między innymi w walkach o PAST-ę. Z grupą kolegów konwojowaliśmy wziętych do niewoli jeńców niemieckich na nasze stanowiska, odległe od PAST-y. Nie chcę się rozwodzić nad szczegółami, nie było to nic rewelacyjnego, nie sądzę, żeby było godne odnotowania.

- **Chyba godne odnotowania, przecież powszechne znane są zdjęcia zdobywania PAST-y.**

Tak, ale są całe monografie na ten temat. Mój udział [był niewielki], ani nie byłem wewnątrz PAST-y, nie wdarłem się, nie byłem w oddziałach szturmowych, które brały udział [w zdobywaniu].



Tak, oczywiście. Tam byli i żandarmi, ale też byli prawdopodobnie także zwykli żołnierze, którzy musieli się poddać.

- **Jak zachowywali się wobec was?**

[Byli] przestraszeni, w takich sytuacjach przestraszeni, ale z tego, co czytałem z literatury, to zachowały się pamiętniki Niemców. Oni byli przestraszeni, głodni, przerażeni.

- **Ponoć były nawet próby samobójcze?**

Były próby samobójcze, tak że rozumiem ich nienajlepszy stan umysłów, tym bardziej że były mniej czy bardziej udane próby pomocy. Czołgi dostarczały żywność, ale nikt nie został ewakuowany. Natomiast pewnym istotnym dla mnie zdarzeniem było to, że ta część Marszałkowskiej było ostrzeliwana głównie przez ciężkie działo, haubicę, która raziła tonowymi pociskami, to burzyła całe domy. Było zagrożenie, że również budynek Marszałkowska 125 będzie trafiony, bo sąsiedni już był trafiony. Wtedy zapadła decyzja przeniesienia dowództwa, to był początek września. Wybrano, dyskusyjny zresztą, jak się okazuje, budynek przy ulicy Szpitalnej 4. [...] Przeprowadzka odbywała się w nocy. W jakiś sposób pomagałem, tam trzeba było zainstalować i centralę telefoniczną i zbudować miejsca do spania i pracy. Nad ranem, kiedy wszystkie prace [były zrobione], już bardzo zmęczony zasnąłem w piwnicy, bo głównie piwnice były wykorzystywane do tych celów, we wnęce okiennej. Nad ranem bomba lotnicza trafiła w parterowy czy piętrowy budynek przy Szpitalnej 6 i zdetonowała na wysokości piwnic budynku Szpitalna 4, w którym przebywałem, ale nie tylko ja, około stu osób ludności cywilnej, wielu żołnierzy oficerów, między innymi kapelan, ksiądz Korda i inni. Grupa stu ludzi zgrupowana w kilku piwnicach, wszyscy zginęli, z wyjątkiem mnie i mojego kolegi, który podobnie jak ja, wlaź we wnękę. Podmuchał, który zabił tych ludzi, [nas] po prostu ominął. Byłem kontuzjowany od samej detonacji, bolała mnie szalenie głowa, [byłem] oszołomiony przez trzy dni, ale cały, kompletnie cały. Wydostałem się, wygrzebałem przez jakieś drzwi na podwórku, brałem udział w pomocy, w wyciąganiu rannych, co było straszne, bo ludzie byli dosłownie przepoławiani. Wracam myślą do Wilczej z 1939 roku, kiedy jako trzynastoletni chłopak spotkałem się oko w oko ze śmiercią, z ludźmi zabitymi, dlatego że w oficynie, która została zburzona, w piwnicach udusili się ludzie, którzy się tam schowali. [To był] straszny widok uduszonych ludzi z sinymi językami na wierzchu. Tutaj drugi raz, kiedy była masakra, bo to już nie śmierć taka straszna z uduszenia, nagła, ale za to z ogromną ilością krwi. Ludzie zostali tam pochowani (szczegóły na ten temat są w artykule Andrzeja Niernssego). Potem były też niektóre sympatyczne wspomnienia. Mianowicie kwaterowaliśmy na rogu Chmielnej i Brackiej. Na tym rogu był sklep delikatesowy braci Pakulskich, a w magazynach był i tokaj i rozmaite rzeczy, tak że można było się pożywić i popić. Jako ciekawostkę powiem, że ze względu na to, że trzeba było lepiej odżywiać mojego przyjaciela Andrzeja Piekarskiego, z którym łączyła mnie przyjaźń do końca jego życia. W „Przeglądzie Telekomunikacyjnym” jest jego zdjęcie razem z mną, z Powstania. Polowałem na gołębie. Byłem wtedy wyposażony w amerykański pistolet maszynowy Thompson. Trafił do moich rąk ze zrzutów lotniczych. Można było nim strzelać pojedynczymi strzałami albo seriami. Polowałem na gołębie, które siadały na gzymsie pierwszego piętra domu braci Jabłkowskich. Teraz tam jest multimedialny sklep. Pamiętam, że dwie kulki wychodziły na jednego gołębia. Parę gołębi, dziwne, że do tego czasu wytrzymały w Warszawie, jakoś mi się udało [ustrzelić]. Z tego robiło się po oskubaniu rosół. Wszystko byłoby cacy i byłbym z tego powodu dumny, gdyby nie pułkownik „Zagończyk”, który po wojnie, ilekroć mnie spotkał, a były spotkania środowiskowe, msze, on pilnował tego i tak przedstawiał mnie swoim znajomym „To jest podchorąży Krystyn. On mnie w czasie Powstania karmił ugotowanym kotem”. Mówię „Pułkowniku, nieprawda. To były gołębie, jak pan przyszedł do nas na kwaterę”. „Ja wiem swoje. Kota jadłem przez ciebie”. Tak było, nie udało mi się go do końca przekonać, że to były gołębie. Natomiast było pewne zdarzenie... kiedyś było pytanie, jakie było najgorsze [zdarzenie], to [dla mnie] było na Szpitalnej, a jakie było najlepsze, to opowiem. To chyba było pod koniec lipca, zostałem z grupą kolegów odznaczony Krzyżem Walecznych za walki, między innymi za PAST-ę i na Marszałkowskiej. Dostałem wpis do legitymacji AK na odwołanie i legitymację odrębną. Było to dość uroczyste. Moi koledzy mówią „Chłopaki, to dzisiaj wieczorem robimy ubaw. Każdy przyniesie, co będzie mógł. O godzinie siedemnastej w takim i takim miejscu”. Tutaj powstał dylemat, dlatego że oni mieli zapłacie i mieli rodziny, znajomych, a ja w Śródmieściu byłem sam jak palec, nie miałem nic. Jak tu przyjąć na składkowe przyjęcie i to z takiej okazji. Ale jak zwykle w życiu miałem szczęście. Gdzieś w południe „Zagończyk” wziął mnie ze sobą i mówi „Idziemy gdzieś na Złotą”, tam koło kina „Atlantic”. Idziemy, w pewnym momencie spotykamy „Montera”. On był pułkownikiem, czy generałem już wtedy. Steczkowski mówi „Panie pułkowniku, dzisiaj podchorąży Krystyn został odznaczony Krzyżem Walecznych”. Na to „Monter” „A to gratuluję podchorąży, gratuluję”. Woła adiutanta, mówi „Wydać podchorążemu pół litra wódki i sto << Junaków >>”. Poszedłem już całkiem spokojny, pół litra wódki w jednej, paczka papierosów w drugiej ręce. Paczka, to był cały karton, sto sztuk. To były straszne papierosy. Już byłem przywoity w całym towarzystwie. To było najmiłsze spotkanie. Jak zwiadałem Muzeum, to w kinie w „Atlanticu” czy w „Palladium” oglądałem kroniki powstańcze. Oprawdzający mówili „Taki ciekawe, proszę pana”. Ja na to „Ja to widziałem w oryginale”. Na tym może bym skończył opowieści powstańcze, samo Powstanie. Sama końcówka Powstania była również ciekawa i dramatyczna. Ze względu na to, że mój przyjaciel był ciężko ranny w rękę, którą miał na wysięgu, na tak zwanym „samolocie”, pułkownik Steczkowski zgodził się na to, że będę się nim opiekował, także w dalszych losach. On [mój przyjaciel] cały czas był na kwaterze, nie był w szpitalu, ale ostatnie dni Powstania na Chmielnej był szpital polowy i tam się zameldowaliśmy. Nasz pobyt, już po opuszczeniu Warszawy przez powstańców, trwał gdzieś do 8, 9 października. W tym czasie oddziały batalionu „Kiliński” sprawowały w Śródmieściu służbę patrolową za zgodą Niemców. Były patrole polsko-niemieckie albo czysto polskie. Nie pamiętam już dokładnie, 7, 8 [października] zostaliśmy ewakuowani. Niemcy zrobili to dość przyzwoicie. Podstawili samochody ciężarowe. Samochodami ciężarowymi ranni zostali przewiezieni ze szpitali na noszach albo na siedząco na Dworzec Zachodni. Tam czekał pociąg sanitarny niemiecki, wagony towarowe, ale wyposażone w łóżka piętrowe. Tam mogło się pomieścić piętnastu, dwudziestu chorych, tyle było miejsc leżących. W każdym wagonie [był] sanitariusz niemiecki.

- **To bardzo przyzwoicie.**

Bardzo przyzwoicie. Było jedzenie, skromne, ale było. Takich transportów było chyba kilka. Do tego były dołączone chyba wagony towarowe. W wagonach towarowych były wyposażenia sal operacyjnych, lekarstwa, całe apteki opróżnione z lekarstw, środki opatrunkowe, a także materace i wszystko, co było potrzebne lub mogło być potrzebne. Transport kolejowy wyjechał 7 czy 8 października i po kilkugodzinnym przejeździe zatrzymał się w Łodzi na jakimś bocznym torze. Od razu dowiedziała się [o tym] polska ludność Łodzi. Mnóstwo ludzi zaczęło przychodzić, przynosić jedzenie, owoce, jarzyny, chleb. Zresztą było to strasznie ważne, byliśmy bardzo głodni. Było to tak spontaniczne i tak serdeczne, że to zostało, mam ogromny sentyment do łodzian, do ludzi, którzy stamtąd pochodzą. W takich warunkach, kiedy właściwie [była] dominacja niemiecka, przecież to był Reich. Przyprowadzili także małą kózkę. Jak nasz sanitariusz zobaczył kózkę, mówi: „Ja potrafię zrobić z tego zupę. Zarznię ją, ugotuję wam rosół”, widocznie była jakaś kuchnia, „ale pod jednym warunkiem, że wątróbka od tej kozy trafi do komendanta całego pociągu”, Niemca, pułkownika, „bo on bardzo lubi”. I tak się stało. Kózkę spałaszowaliśmy, a pułkownik [też], co może miało wpływ także na [nasze] późniejsze losy. Nikt nas nie pilnował. Pełen rannych powstańców pociąg stał bez żadnej obstawy. Jak się zorientowaliśmy, nie tylko ja z moim przyjacielem, ale również inni chodzący chorzy, wyruszyliśmy na piechotę na miasto. Z moim przyjacielem trafiliśmy do dzielnicy robotniczej. Zobaczyliśmy sklep wędliniarski i na bezczelnego, a byliśmy wtedy w mundurach, ja w długich butach z cholewami, bryczesy zielone, khaki, coś w rodzaju battledresu, mój kolega troszeczkę inaczej ubrany, ale też z opaską AK na ramieniu. Wchodzimy do sklepu. On płynną niemiezczyzną, bo uczył się niemieckiego, poprosił pół kilograma kiełbasy. Mieliśmy drobne marki, ile się należy, wzięliśmy, zapłaciłmy, zaczęliśmy konsumować na ulicy, wróciliśmy do pociągu. Natomiast inna grupa wybrała się do Śródmieścia, weszła do jakiejś narożnej cukierni, o ile pamiętam, gdzie były jeszcze stoliki na ulicy i zażądali kawy, którą na pewno dostali z bożową, poprosili ciasteczka, pewnie dostali jakieś na otrębach, ale dostali, siedzą i piją i są szczęśliwi, z opaskami na ramieniu w środku Reichu. Obsługa zawiadomiła [żandarmerię], bo nasz sklep to zatkało, tę Niemkę, była zupełnie sparaliżowana, wydała kiełbasę, wzięła pieniądze i słowem się nie odezwała.

- **Bała się was?**

Bała się nas. Natomiast tam obsługa widocznie zawiadomiła, zjawili się żandarmi, zaarrestowali, odstawili do pociągu i po pewnym czasie rozkaz: „Wszyscy chodzący



godziny i po tych godzinach zamocowano nas i składowano trawami z pomocą na uwolnić i do poręgu. Okazało się, że komendant szpitala kolejowego, transportu wyklócił się o nasze zwolnienie z komendantem obozu, powołując się na Konwencję Genewską, umowę kapitulacyjną. Kolejny raz nam się udało. Dojechaliśmy po trzech dniach do obozu jenieckiego w Zeithain. Jest to miejscowość niedaleko Łaby, nosząca nazwę Stalagu IVB, który to obóz był szpitalem jenieckim, w którym było wielu jeńców. Tam zmarło kilkadziesiąt tysięcy jeńców rosyjskich, głównie na gruźlicę, ale także później byli jeńcy włoscy i również spotkaliśmy jeńców [polskich z] 1939 roku. W tym obozie przeprowadzono tradycyjne, rutynowe działania, czyli odwieszenie bielizny, ubrań, co było konieczne, trzeba było się rozebrać, przejść przez mykwę i odebrać wyparowane [ubrania], a potem rozmieszczenie w sporych barakach, na piętrowych pryzkach. Tu zdarzyła się rzecz, która mi utknęła w pamięci. Jestem nałogowym palaczem od wczesnej młodości. W czasie Powstania poszły „Junaki” wypalone wśród kolegów, zgłodziłem. Jeniec z 1939 roku żądny wieści, jak to było, bo powstańcy przyjechali, częstuje mnie amerykańskim papierosem. Zaczynam palić, w tym momencie, po kilku chwilach podchodzi do mnie Niemiec i do mnie Raus! . Okazuje się, że nie mogę się ruszyć, że mam sparaliżowane nogi. Głód nikotynowy i mocne amerykańskie papierosy powodowały, że nie mogłem się ruszyć. Dopiero po minucie czy dwóch mogłem odejść. Od 10 października do 23 kwietnia, to jest około pół roku, przebywałem w tym obozie, który był jedynym obozem jenieckim na terytorium niemieckim, ale myślę, że w całej Europie po stronie alianckiej też tego nie było, był obozem mieszanym. Połowa kobiet, połowa mężczyzn. Oczywiście, o różnym statusie. To oczywiście powodowało różnego rodzaju mieszaną układ, różnego rodzaju problemy, również miłosne. Małżeństwa czasami przyłapywane wrzeszczały: „Co?! Jesteśmy małżeństwem i nam nie wolno?!” Czy też wyprawy Włochów, którzy zawsze są bardzo gorący, jeśli chodzi o dziewczyny, a było tam sporo ładnych [dziewczyn]. Też się przekradali do obozu. Kobiety były z tego względu, że były to ranne dziewczyny z Powstania, były to sanitariuszki, lekarki i były rodziny lekarzy, dlatego że zgodnie z Konwencją Genewską żony i córki mogły być. Między innymi mój przyjaciel ożenił się z dziewczyną, córką lekarza, która tam przebywała. Zeithain był zresztą filią znacznie większego obozu w Mühlbergu, tylko po drugiej stronie Łaby. Warunki życia były bardzo trudne, dlatego, że po pierwsze był głód, porcje były niesłychanie małe, zupy były jak w obozach koncentracyjnych, z brukwi, z jakichś liści, bez kawałka mięsa, bez tłuszczu, kawa czarna, niesłodzona na rano, pajda chleba na cały dzień, druga kawa wieczorem. W gruncie rzeczy byłem tak głodny, że głód czułem w małym palcu ręki. Cały organizm był głodny, to nie uczucie głodu w brzuchu, tylko w całym organizmie. Drugie, że było to życie [ludzi] chorych, biednych, ale leczonych w sposób profesjonalny, bo byli wspaniali lekarze, wybitni specjaliści, którzy mogli leczyć w odróżnieniu od innych, bo mieli narzędzia. Był aparat rentgenowski, były sale operacyjne, były lekarstwa, było wszystko, co potrzeba, środki opatrunkowe.

#### • I chcieli leczyć?

To byli przecież Polacy z Powstania. Mało tego, nawet niektórzy Niemcy byli obsługiwani przez naszych lekarzy. Personel był bez zarzutu. Oczywiście, zdarzały się pewne nietypowe rzeczy. Pamiętam, kiedyś wieczorem byłem w kuchni, gdzie grzano wodę i byłem świadkiem, jak przylatuje sanitariuszka, do jakiejś [osoby] z obsługi kuchni i mówi „Proszę pani, proszę pani, proszę szybko gorącej wody, bo pani kapitan rodzi”. Takie zderzenie tytułu wojskowego z macierzyństwem. Jak spędzaliśmy czas? Czas był między innymi wykorzystywany do słuchania koncertów muzyki. Udało się, tak słyszałem, przemycić pięćdziesiąt patefonów na korbkę, z ogółem tysiącem płyt. Był zorganizowany teatrzyk satyryczno-muzyczny. Nie pamiętam, w tej chwili nazwisko mi uciekło z pamięci, prowadził to dość znany warszawski aktor o imieniu Mieczysław, który dość długo był po wojnie w Warszawie. Były próby uczenia się języków, jakichś wykładów. Działała kaplica, która też była dla mnie niezapomniana, mianowicie, żeby stworzyć nastrój kaplicy, zrobiono pseudo-witraże. Polegało to na tym, że okna zostały zasłonięte prześcieradłami, na których dostępnymi farbami zostały wymalowane witraże, po pierwsze spoiwa, gdzie jest normalnie stop cyny i ołowiu, były wymalowane czarną farbą, jako druty kolczaste. Przestrzenie objęte drutami były objęte tym, czym dysponowała apteka. Fiolety to był specjalny środek odkażający, brązy to były też jakieś lekarstwa, żółcienie, to wiadomo, są lekarstwa, które żółcą. Naczynia liturgiczne, bo byli kapelani, były wykonane przez ludzi, którzy to potrafili, z puszek z konserwami. W pewnym momencie dostawaliśmy paczki amerykańskie, jedną paczkę na dwudziestu, ale tam były puszki ze złotymi środkami, z których wykonano kielich i patenę. To się również odbywało. Były zdarzenia, które pozostały w mojej pamięci [i stanowią] ogromny element uczuciowy. Zaglądali do nas Rosjanie, w różnych celach, nieraz handlowych. Kiedyś przehandlowałem dwa papierosy za cygarniczkę wykonaną z drzewa wiśniowego. Chodziło o to, że małe kawałki, pety, jeden papieros na czterech musiał starczyć. Zjawił się również chłopaki, Rosjanin, który mnie zaczepił i mówił, że jest polskiego pochodzenia, że jego dziadkowie zostali zesłani na Syberię, że on czuje się Polakiem i strasznie prosi, żebyśmy nauczyli go czytać po polsku, łacinnicą, bo znał tylko cyrylicę. Przychodził do mnie, siadaliśmy na łóżku i uczyłem go czytać i mówić po polsku. Co się potem z nim stało, to nie wiem. Były także rzeczy zabawne. Obchodziliśmy tam święta Wielkiej Nocy i śmigus-dyngus. W korytach do mycia była woda. Dziewczyny były porywane przez chłopaków, rzucane do wody albo polewane kubłami, tak że śmigus-dyngus się odbywał. Jedzenie było bardzo marnie. Pamiętam, że z zapasów mąki piekłem na Boże Narodzenie chlebki na piecach opalanych drzewem, które służyły do grzania. Nieco lepiej było później na Wielkanoc, bo już przychodziły paczki w większych ilościach i już były papierosy. Papierosy stały się walutą obiegową. Wspomnę także, że czas zabijaliśmy grając w brydża, z tym, że to były poważne rozgrywki. Liczyły się albo dolary albo papierosy. Normalnie dwa papierosy za dolara. Powiem szczerze, że jednak wówczas moje umiejętności brydżowe były na tyle dobre, że grając w brydża potrafiłem zarobić na dwa papierosy dziennie. Był zwyczaj, że dzieliło się [papierosa] żyłką na cztery części, a jeszcze ostatnią część, ostatni „sztach” dawało się koleźce. To było konieczne. Jakoś głód nikotynowy się [zabijało].

#### • Jednym słowem, nie wspomina pan źle tego okresu?

Nie. To było niesamowite przecież. Żle [wspominam] niesamowity głód, który był potem złagodzony paczkami. Dzisiaj piłem kawę rozpuszczalną, a pierwszą rozpuszczalną kawę tam właśnie wypiliśmy, ale to byłoby banalne. Niebanalne było to, że poza kawą rozpuszczalną z Brazylii do obozu dostarczono tonę mielonej kawy i każdy z nas w obozie dostał co najmniej po pół kilo. Udało mi się po raz pierwszy zaparzyć kawę mieloną i dosypać jeszcze do niej neskę. I to było dopiero! Nie było cukru. Dostałem jedną paczkę z domu z czosnkiem, który wtedy mi szalenie smakował i cebulą, kawałkiem słoniny. Tak to trwało. Nie była to sama sielanka. Niemcy z budek strażniczych ostrzeliwali w przypadku dostrzeżenia światła, tak że nawet jedna dziewczyna zginęła z tego ostrzału, inni byli ranni. Pewną frajdą, dziwną przyjemnością było to, że mogliśmy w nocy z terenu obozu obserwować bombardowanie Drezna. Drezno było sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kilometrów [od nas]. Na horyzoncie [było widać] nieustanne wybuchy i stłumiony dźwięk wybuchów jednak docierał mimo wielkiej odległości. Później [obserwowaliśmy] przeloty samolotów alianckich nad obozem, który był otoczony drutami. Brałem wówczas udział w paru przypadkach w pogrzebach zmarłych chorych, rannych. Odbywało się to z pewnym ceremoniałem wojskowym. Oczywiście bez broni konwojowaliśmy wóz, na którym była przewożona, spoczywała trumna i trzech Niemców z karabinów oddawało salwę honorową. Tyle w skrócie historii. Rosjanie dotarli w okolice obozu w pierwszych dniach trzeciej dekady kwietnia 1945, to znaczy po dwudziestym. Przewalały się tłumy uciekających mieszkańców, Niemców, tak jak w 1939 roku u nas – wózki, wozy konne, rowery, dzieci, kubły. Sprawiało to nam przyjemność. W pewnym momencie jeszcze przed ostatecznym wyzwoleniem Niemcy zaproponowali, że kto chce, może się przenieść na drugą stronę Łaby do Mühlberga. Oczywiście, ciężcy ranni musieli zostać, personel lekarski został. Cały szpital został ewakuowany pociągami dopiero w połowie 1945 roku, w sierpniu, wrześniu, do Polski, ale część się udała [na drugą stronę]. Przede mną stał bardzo istotny dylemat. Miałem świadomość, że jeżeli przejdę na drugą stronę, prawdopodobnie trafię na Amerykanów. Jak zostanę, [trafię] w ręce Rosjan. Jak Amerykanie, to udanie się na Zachód, jak u Rosjan, to na Wschód. Jak na Zachód, to może trafię na ojca, [o] którym wiedziałem, że jest w Armii Andersa. Jeśli na Wschód, to pomogę matce, która miała mnie tylko jednego i wiedziałem, że jest w bardzo trudnych warunkach. Rozstrzygnąłem, że wracam do matki. Okazało się to o tyle prawidłowym wyborem, że w tym momencie mój ojciec już nie żył. Zmarł w 1944 roku w lutym na zawał serca, w szpitalu wojskowym, nie udało się go uratować, mimo że był lekarzem. Spotkałem się z jego przyjacielem, który później wrócił do Warszawy, doktorem Mężysłkim. Pierwszy raz o śmierci ojca dowiedziałem się od generała Szareckiego. To był naczelny chirurg Wojska Polskiego na Zachodzie, który powrócił do Polski. Zameldowałem się u niego, powiedział mi „Pamiętam ojca, ale niestety, nie żyje”. Tak, że ten wybór był [dobry]. Ale wybór oznaczał natychmiastowy wymarsz, bo nie było wiadomo, co się będzie działo. Przedtem okazało się, że uciekła cała obozowa straż żołniersza urzędująca na wieżyczkach, że w materacach, które przewieziono z Warszawy do obozu, była ukryta broń, pistolety z amunicją.

#### • Wcześniej tego nie odkryto?

Widocznie wiedzieli tylko ci, którzy może i spali na tych materacach, na tej broni. Natychmiast teren obozu na wieżyczkach został obstawiony przez naszych ludzi. Tam, gdzie broń została, karabiny maszynowe, [tam] zostały przejęte. Chodziły plotki, że oddziały SS, które będą się wycofywały przed Rosjanami, mogą



złoty w zegarm. Wyraziliśmy, droga prowadziła od baby do baby, przemierzaliśmy od 25 kwietnia do 1 maja, czyli w ciągu tygodnia, stosunkowo [prosto], z przyjacielem, z jego dziewczyną. Początkowo nasze drobne rzeczy wieźliśmy na rowerach. Potem Rosjanie zabrali nam rowery. Znaleźliśmy platformkę drewnianą na kółkach, metalowych łożyskach. Można to było ciągnąć. Na tym trzymaliśmy nasze plecaki, inne rzeczy i ciągnęliśmy po asfalcie. Droga była ciężka. Zdarzało nam się, że miały nas samochody. Został mi w pamięci rosyjski samochód wojskowy, gdzie były zamontowane na stojakach karabiny maszynowe, jeden skierowany do przodu, drugi skierowany do tyłu. Tam wieźli czy za nimi jechały pewnie samochody z generalicją.

- **Szliście bez przeszkód? Nie zatrzymywano was?**

Nie zatrzymywano nas. Pytano się, ale nie zatrzymywano. Pozostał mi oczach również straszny widok, rzecz, która dla mnie jest po dzień dzisiejszy wstrząsająca. Na asfalcie, prawdopodobnie przez czołgi [przejechane], zwłoki kogoś, rozjechane, tak że ten człowiek był grubości dwóch centymetrów, zarys tylko był. Nikt tego nie sprzątał, wszyscy jeździli. Po drodze zatrzymaliśmy się na noclegi. Zatrzymaliśmy się w domu na skrajach jakiegoś miasteczka. Zobaczyliśmy, że na dole leżą zwłoki, pewnie właściciela, Niemca. Przez kogo zabity, nie wiadomo. Ulokowaliśmy się na piętrze, spaliliśmy w trójkę w małżeńskim łóżku. W pewnym momencie w nocy łomotanina do drzwi. Otwieramy, starszy Niemiec, w wieku lat sześćdziesięciu i mówi tak „Panowie, jesteście tacy młodzi. Przyszedłem do was, żeby was ostrzec. Tam, czterysta metrów, w tym lesie, to stoją jednostki SS, które prawdopodobnie w nocy wejdą do naszego miasteczka i co będą robić, nie wiadomo. Uciekajcie! Ja was błagam, Uciekajcie!” Rządka rzecz, bo końcówka wojny, on sam zagrożony, w ten sposób się odniósł [do nas]. Trzeba odnotować takie rzeczy. W nocy ruszyliśmy. W innym mieście zatrzymaliśmy się na rynku, na trzecim piętrze. Też wspomnienie niesamowite, jakbym się cofnął parę wieków wstecz. Na środku rynku pali się, bucha wielkie ognisko z drzewa, ale z szaf, stołów, krzeseł. Wokół tego tańczą rosyjscy żołnierze grając na harmoszcze, jedną w kółko frazę muzyczną. To nie była piosenka. W tle, w ciemnościach wrzaski o pomoc Hilfe! Hilfe! niemieckich kobiet i dziewczyn, z którymi wiadomo, co się działo. Tak wędrując, jeszcze jedno zdarzenie, które może jest drobne, ale obrazuje dramatyczną sytuację. Wychodząc z obozu w Zeithain część jeńców dostała się do magazynów żywnościowych niemieckich. Ściągnęła puszkę, tragicznie to się skończyło, bo ludzie zaczęli jeść tuszonki, konserwy a po tym wygłodzeniu zaczęły się biegunki, straszliwe choroby. My także wzięliśmy jedną puszkę, nie oznakowaną, niedużą. Był taki moment, że udało się nam dostać od żołnierzy rosyjskich suchy wojskowy chleb, czarny. Usiedliśmy pod drzewem, zbliża się wieczór, nie ma co jeść, otwieramy puszkę. Wzięliśmy nóż, otwieramy i co się okazuje. Była to puszka z mięsem homara. Nie wiem, czy państwo jedli kiedyś mięso homara, białe mięso, jak z naszych raków, przecież to wielki rak, ale suche, bez krztyny tłuszczu. Żuliśmy suchy, czarny, wojskowy chleb, z suchym, bez tłuszczu, mięsem homara. Od tego czasu homara nie jadłem, chociaż miałem okazję. To było coś strasznego, wysychało nam, ale zjedliśmy, bo nic innego nie było.

- **Nie zaszkodziło dzięki temu.**

Nie zaszkodziło, bo nie było tłuste. Zresztą na trzy osoby jedna puszka. Dotarliśmy do Odry na wysokości miasta Zielona Góra, to się wtedy nazywało po niemiecku Grünberg i przekraczaliśmy most. Mieliśmy znów kolejny raz szczęście. Był to pierwszy maja i straż rosyjska, żołnierze, którzy kontrolowali ruch przez most nad Odrą, byli pijani w sztok. Spytali się A wy odkuda? A ja wtedy mówię A my wojenno pełni, z tridcat diawatowa goda. I uwierzyli. Przecież myśmy wtedy mieli po dziewiętnaście lat, młodziaki, a ci jeńcy musieli mieć koło trzydziestki. Dojechaliśmy. Stamtąd pociągi już kursowały do Poznania. Tam zostawiliśmy dziewczynę u rodziny, to była poznanianka. Wybraliśmy się innym pociągiem do Kielc, bo wiedzieliśmy z korespondencji, że rodzice mojego przyjaciela Andrzeja i moja matka są w Kielcach. Wylądowaliśmy z samego rana, o piątej czy szóstej rano na dworcu, było już jasno, to już był maj, więc wczesny [wschód słońca]. Wybraliśmy zasadę, że idziemy najpierw razem do miejsca najbliższego, trafiło na rodziców mojego przyjaciela. Pukamy, nikt się nie odzywa. Walimy, nikt się nie odzywa. Wołamy, nikt się nie odzywa. Sąsiedzi otwierają „A wy panowie, do kogo?” „A my do państwa Piekarskich” „A państwo Piekarscy to już dawno wyjechali. Nikogo tutaj nie ma. Przestańcie się dobijać, bo obudzicie ludzi”. Idziemy do mojej mamy. Tam się inaczej odbywa. Drzwi, w których powinna mieszkać moja mama uchylają się i wygląda jakaś pani i mówi „A panowie do kogo? „A do pani Plewko”. „Pani Plewko tu nie ma. Nie mieszka”. „A gdzie mieszka?” „Nie wiem”. Trzask drzwiami. Już się nie dopytujemy, domyśliamy się, że zamknęli. Po drodze już nas ludzie uprzedzali. Chodziliśmy z opaskami. Już jak ruszyliśmy w kierunku Poznania „Panowie, zdejmijcie opaski AK. Uważajcie, nie reklamujcie się, że jesteście akowcy, a powstańcy w ogóle. Cicho, sza... A że w takich półmundurach, to się ludzie przyzwyczaili, różnie ludzie chodzą. Kiedy wyszliśmy na główną ulicę i zastanawialiśmy się, co mamy dalej ze sobą robić, czy wracać znowu nad Odrę, przekraczać granicę i zdążyć w tamtą stronę, słyszymy okrzyk „Krystyn, Krystyn, zatrzymajcie się”. Leci mój znajomy, u którego jakoby miała się zatrzymać moja matka. Ma na spodnie narzuconą koszulę nocną pętającą się, którą przytrzymuje „Słuchajcie, dlatego wam nic nie powiedzieli, bo jesteście ubrani jak „ubecy” w mundury jakieś niejasne. Po prostu moja siostra bała się, że przysłiście aresztować twoją mamę” Zaprowadził nas do rodziców Andrzeja. Tam, okazuje się, mieszkała moja matka. Zaczęły się problemy. Przypominam, jest to 3, 4 maja, jeszcze nie jest koniec wojny, tam doczekaliśmy końca wojny.

- **To były Kielce?**

To były Kielce. Co robić dalej w Kielcach? Sytuacja była bardzo trudna politycznie, były liczne aresztowania akowców w Kielcach, w okolicach. Wiadomo, tam były przecież silne oddziały i silne struktury. Zarówno moja matka, jak i rodzice mojego przyjaciela doszli do wniosku, że trzeba nas z Kielc gdzieś wywieźć. Doszli do wniosku, że najlepiej na Śląsk. Trafiliśmy do Katowic. Tam okazało się, że są jakieś znajomości, o których może nie warto mówić. Trafiliśmy do osób, które nam zaproponowały udział w tak zwanych grupach operacyjnych. Były to utworzone przy Komitecie Ekonomicznym ówczesnej Rady Ministrów grupy, które przejmowały Ziemię Odzyskane, Ziemię Zachodnie i Północne. Działy na zachodzie i na północy. Ich zadaniem była inwentaryzacja majątku, ułatwienie osadnictwa i stworzenie warunków [do zasiedlenia]. To były zupełnie cywilne struktury. Trafiłem razem z przyjacielem i moją mamą, która była opiekunką i w rezultacie była kucharką w tej grupie, do Grodkowa. Jest to miejscowość na Opolszczyźnie, stolica powiatu grodkowskiego, w okolicach Niemodlina, Przedgórze, Paczkowa. Tam przebywaliśmy do połowy sierpnia. Matka wcześniej wyjechała, ja tam zostałem. Robiliśmy inwentaryzację, ludzie zaczęli przyjeżdżać, pierwsze struktury tam się tworzyły. Matka zamieszkała w Gliwicach, zdobyła mieszkanie, napisała do mnie „Przyjeżdżaj. Zbliżają się egzaminy wstępne na Politechnikę”. Do egzaminów przystąpiłem, zresztą w bardzo nieprzychylnych okolicznościach, dlatego że wtedy warunki sanitarne były tam bardzo złe i zachorowałem na żółtaczkę zakaźną, ale typu „A”, żółdkową. Z gorączką w kolorze żółtawym przystąpiłem do egzaminu, do którego mnie dopuszczono, mimo że nie miałem dokumentów, bo świadectwo maturalne było późniejsze, musiałem potem dostarczyć. Zdawałem w dość trudnych warunkach, ale zdałem. Zdałem i rozpocząłem studia i na tym bym proponował skończyć, dlatego że okres studiów i kłopoty, jakie z tym były związane i stopniowo, to wszystko, co się działo w moim życiu zawodowym i społecznym, [to] jest na odrębną opowieść.

- **Kontynuacja: 10 listopada 2005 roku**

Tak jak mówiłem na zakończenie poprzedniego wywiadu, moja matka, która była ze mną w grupach operacyjnych w Śląsku Opolskim, wybrała się do Gliwic, zdobyła tam mieszkanie, podjęła pracę i zawiadomiła mnie, że we wrześniu będą egzaminy wstępne na Politechnikę Śląską w Gliwicach. Przyjechałem do Gliwic, przystąpiłem do wstępnego egzaminu. [Byłem] w dość trudnej sytuacji, dlatego że byłem chory, miałem żółtaczkę, w wyniku tyfusu brzuszego i sporą gorączkę, ale jakoś się ten egzamin powiódł, zostałem przyjęty i zacząłem nowy etap życia, wymarzony. Cały czas przecież miałem jakieś ambicje studiowania i to się zrealizowało. Studiowałem na Wydziale Elektrycznym z myślą, że w pewnym momencie podejmę specjalizację związaną z telekomunikacją, która wówczas nazywała się prądami słabymi. Zawsze miałem inklinacje do prac społecznych. Zaangażowałem się w działalność w kole lotniczym studentów Politechniki Gliwickiej. Brałem udział w imprezach z tym związanych jako taki sportowy komisarz, czy sędzia, a także skończyłem szkołę pilotażu szybowcowego, co było dla mnie oczywiście wielkim wyzwaniem i wielką frajdą. W czasie studiów, na początku to był rok 1945, gdzieś na jesieni, była ogólnopolska akcja ujawniania się żołnierzom Armii Krajowej, któraś z kolejnych akcji, ale tym razem chyba zainicjowana przez pułkownika Rzepeckiego. Wcześniej bałem się jakiegoś aresztowania, dlatego ewakuowałem się z Kielc, które były wyjątkowo nieprzychylnym miejscem dla akowców, ale będąc z pochodzenia warszawiakiem, a mieszkając na Śląsku, sądziłem, że nie grozi mi jakieś większe niebezpieczeństwo. Zgłosiłem się do komisji, której przewodniczył komendant obszaru śląskiego w stopniu pułkownika o nazwisku o brzmieniu niemieckim, ale niestety nie pamiętam,





podchorążówką, to było to możliwe, i takie zaświadczenie dostałem. Dostałem jednocześnie polecenie, że mam się zgłosić do regionalnej komendy uzupełnień dla rejestracji. Było to zdarzenie zabawne, dlatego że wartownik, który stał tam, zwrócił się do mnie per „ty”: „Słuchaj, a ty do kogo?”. Ja mówię „Mam taki papierek, muszę się zgłosić.”. „To bardzo przepraszam panie poruczniku, niech się pan zgłosi na drugie piętro”, co mnie serdecznie ubawiło. Tam zostałem zarejestrowany, musieli założyć książkę z rocznika 1926, dlatego że wtedy jak tam byłem, to miałem dziewiętnaście lat, a stopień w wieku lat osiemnastu, więc dość młody i dostałem polecenie wyjazdu do Komisji Weryfikacyjnej Oficerów przy Ministerstwie Obrony w Warszawie. Stawiłem się tam, wy pytali [mnie] na wszystkie okoliczności i uznali, że mogę mieć stopień podporucznika, ale czasów wojny. I dostałem takie zaświadczenie. W Gliwicach przemieszkalem i uczyłem się przez dwa lata. W związku z tym, że moja matka dostała propozycję posady na Wybrzeżu w Stoczni Gdańskiej jako rzecznika prasowego tejże Stoczni, przenieśliśmy się w trybie dość nagłym na Wybrzeże w lecie 1947 roku. Tam podjąłem kontynuację studiów na Politechnice Gdańskiej, również na Wydziale Elektrycznym z perspektywą specjalizacji słaboprądowej. Kontynuując wątek wojskowy – musiałem się zgłosić do kolejnej komendy, a tam mi powiedziano: „Proszę pana, jak to, jaki podporucznik czasów wojny? Nie ma już żadnej wojny i w związku z tym podporucznikiem pan nie musi być”. Ale byłem kapralem podchorążym. „E, co za podchorążówka akowska, to się też nie liczy”. Wystawili mi książeczkę żołnierską ze stopniem kaprala. Przez długie lata byłem kapralem, były jakieś próby wzywania mnie na ćwiczenia, na które się nie stawiałem. W rezultacie w jakimś momencie zostałem mianowany starszym sierżantem. Później, kiedy już Polska była wolna, czyli po roku 1989 w rezultacie, ze względu na to, że w międzyczasie nie awansowałem oficersko, zostałem mianowany kapitanem w stanie spoczynku. Były takie zabawne zawahania tych stopni. Na Politechnice Gdańskiej, zawsze kierując się jakąś potrzebą pracy społecznej, związałem się z Bratnią Pomocą Studentów Politechniki Gdańskiej [tzw. Bratniakiem]. Prezesem wówczas był Jerzy Sadowicki, obecnie emerytowany profesor zwyczajny w Instytucie Techniki Budowlanej. Powierzono mi pod opiekę referat informacji i propagandy tejże Bratniej Pomocy, która zresztą była bardzo silną organizacją o wielkich zasługach, prowadziła domy studenckie, stołówkę, wydawała we własnej drukarni powielaczowe skrypty, których owa, organizowała rozdział pomocy UNRR-y wśród studentów, bida był wtedy bardzo wielka. To wszystko się wtedy bardzo liczyło. Była to mocna, liczna organizacja jednocząca całą bratniaczkę po okresie 1948 – 1949. Bratnia Pomoc miała swoje korzenie przedwojenne, dlatego że na Politechnice Gdańskiej, która powstała w roku 1904, czyli jeszcze za czasów cesarstwa niemieckiego, była wówczas liczna grupa studentów Polaków, licząca co najmniej dwieście, trzysta osób i oni tworzyli wtedy również Bratnią Pomoc, która chroniła przed represjami studentów polskich, którzy mieli bardzo trudne życie. Nie dopuszczano ich do kreslarni, do bibliotek, były przypadki pobicia. Historia przedwojennej Bratniej Pomocy była bardzo istotna i w liczne szczegóły bogata. Postanowiono wydać z okazji dwudziestopięcioletnia Bratniej Pomocy „Jednodniówkę”, która przedstawiała jej historię przedwojenną i historię powojenną. I też „Jednodniówka”, w której w Komitecie redakcyjnym brałem udział, a po tym w jej rozpowszechnianiu na terenie całej Polski, została przesłana do wszystkich bibliotek, rozesłana w inne miejsca oczywiście wśród studentów i kadry profesorskiej. Ta „Jednodniówka” została wykorzystana przez ówczesne władze komunistyczne do rozgromienia Bratniej Pomocy we wszystkich uczelniach krajowych. Oczywiście skupiono się na Politechnice Gdańskiej i wykorzystano treści zawarte w tej „Jednodniówce” napisanej przez ludzi językiem historycznym, zupełnie obiektywnym do rozprawienia się z Bratnią Pomocą. Postawiono zarzutów mnóstwo, załączonych do tych materiałów, są one omówione i przedstawione w oryginałach. Zarzucano między innymi takie absurdalne rzeczy, że w „Jednodniówce” jest zdanie „Rok 1945 przyniósł nam wolność”, a przecież to nieprawda, bo Armia Czerwona przyniosła nam wolność, a Polska Ludowa dała możliwość studiowania, o czym nie było mowy. Rzeczywiście, jeden błąd został popełniony, mianowicie omówiono wszystkie organizacje, AZS i inne działające na terenie uczelni, ale Socjalistyczny Związek Młodzieży Polskiej nie był poproszony ani do komitetu redakcyjnego ani specjalnego opisu nie było. Natomiast te organizacje sterowane przez partię komunistyczną podjęły próbę wykorzystania tej okoliczności do rozprawienia się najpierw z Bratnią Pomocą a potem wykorzystania tego na terenie całej Polski. Zwołano masowy wiec studentów, na którym po dyskusji uchwalono rezolucję potępiającą. Rezolucja ta została wykorzystana i ukazały się dwa artykuły w czasopiśmie, wówczas bardzo agresywnym, jakim było w tych latach „Po prostu” (potem „Po prostu” miało bardzo ładną kartę w historii jako czasopismo niezależne) i kserokopię jednego z artykułów pt. „Wśród nas nie ma dla nich miejsca” również załączyłem. Ministerstwo wykorzystało to, przysłało komisję specjalną, dyscyplinarną, która po przesłuchaniu wydała werdykt usuwający nas czterech, prezesa i trzech kolegów z grona studentów Politechniki Gdańskiej. Innych, którzy byli już absolwentami lub na ostatnim roku dyplomowym, jakoś to ominęło, mieli natomiast określone trudności. Pozbawienie możliwości studiowania to dla mnie był ogromny szok. Chciałem kontynuować studia, zwracałem się z prośbą do różnych uczelni politechnicznych w Polsce, między innymi do Politechniki Warszawskiej, Łódzkiej, Szczecińskiej, wszędzie otrzymywałem odpowiedź – owszem przyjmujemy pana, ale musi mieć pan zgodę ministerstwa. Zwracałem się do ministerstwa i dostawałem odmowę. [...] Moja matka przeżywała razem ze mną te zdarzenia i doszła do następującego wniosku „Musisz podjąć pracę, nie możesz być człowiekiem wyrzuconym na margines, przed tobą jest jeszcze całe życie, musisz coś robić”. I przez znajomości udało mi się zostać nauczycielem matematyki i fizyki w gimnazjum przemysłowym przemysłu rybnego, gdzie pracowałem rok. Korciło mnie jednak, żeby coś zrobić dalej. Doszedłem do wniosku, że jednak wracając do Warszawy uda mi się to zrealizować. W roku 1950 [...] udało mi się dostać posadę również nauczyciela matematyki i fizyki, (a miałem pół dyplomu, więc to była legitymacja dydaktyczna, że mogę te dwa przedmioty prowadzić), do technikum Teleelektrycznego w Warszawie przy ulicy Stępińskiej, wówczas się ono mieściło przy Jedwabniczej, potem przy Stępińskiej. Po roku pracy w szkole, a był to rok 1951, udało mi się uzyskać skierowanie na studia wieczorowe w szkole inżynierskiej w Warszawie, zatajając całą moją historię, nie przyznając się do niej. [Ta szkoła] mieściła się na Narbutta w gmachach Politechniki Warszawskiej. Dostałem się i zacząłem się uczyć. Przyznam się szczerze, że jeśli chodzi o studia w Gliwicach i w Gdańsku to je troszkę lekko [traktowałem], odprężyłem się, natomiast [w Warszawie] wziąłem się do nauki bardzo serio i udało mi się w półtora roku uzupełnić ujęcie trzyipółletnie studia inżynierskie i uzyskać dyplom inżyniera. Sam moment podjęcia tych studiów zbiegł się z moją sytuacją rodzinną. [Z] moją żoną zaliśmy się z młodości, nasze matki były przyjaciółkami, spotkaliśmy się w Sopocie w tym samym miejscu, jakoś zaiskrzyło, zaręczaliśmy się i w rezultacie w roku 1951 wzięliśmy ślub i w tym roku na jesieni podjąłem studia. Było to połączenie bardzo trudne, dlatego że studia wieczorowe mają to do siebie, że [trzeba także pracować], pracowałem więc jako nauczyciel, ale po południu musiałem chodzić na wykłady, które kończyły się często o dziewiątej wieczorem, a mieszkaliśmy pod Warszawą w Zalesiu Dolnym, to jeszcze ciuchcią trzeba było dojeżdżać. Wracałem często o jedenastej w nocy, a wstawać musiałem o szóstej rano. Było bardzo trudno. Żona podjęła również pracę w „Expressie Wieczornym”. Moja matka była dziennikarką z wykształcenia i stażu. Po powrocie do Warszawy dostała propozycję pracy dziennikarza w „Życiu Warszawy”, ale po dyskusji ze mną, doszliśmy do wniosku, że dziennikarze w owym okresie musieli być bardzo dyspozycyjni i pisać rzeczy pod dyktando partii, co nam nie odpowiadało, została korektorką w „Życiu Warszawy” i tam pracowała do swojej emerytury i skierowała tam do pracy jako korektorkę moją żonę. [...]

- **Po latach, jak pan spogląda na całe życie i na okres młodości, okupacji, wojny i Powstania, czy sądzi pan, że czas młodości wpłynął jakoś na pana życie?**

Bardzo dobre pytanie, [o tym] właściwie chciałem również powiedzieć, ale jakoś umknęło mi. Otóż, w czasie okupacji również działałem wielokierunkowo. Poza tym, że uczyłem się i w warunkach konspiracyjnych zrobiłem maturę, brałem udział w działalności wojskowej Armii Krajowej, skończyłem szkołę podoficerską, podchorążówkę, szkoliłem grupy strzeleckie, brałem udział w różnych akcjach, w tym także bojowych. To oprócz tego jeszcze pracowałem zawodowo, na pół etacie, ale trzeba było się z czegoś utrzymywać i miałem również pewne obowiązki związane z konspiracją polityczną, byłem poprzez moją mamę związany z tak zwanym Obozem Polski Walczącej. W moim mieszkaniu były skrytki, w których ukrywałem odpowiednie dokumenty. Wydaje mi się, że lata, od połowy roku 1942 do Powstania, ukształtowały moją osobowość. Wymagały wtedy niesłychanej samoorganizacji czasu, obowiązków, punktualności, odpowiedzialności i prawdopodobnie nie potrafiłbym w swoim życiu już dorosłym prowadzić skutecznie i z sukcesami swojej pracy zawodowej i społecznej w tych różnych wątkach, gdyby nie nawyki, umiejętności i ukształtowanie osobowości, które miało miejsce we wczesnej młodości. Te dwie rzeczy są chyba ze sobą związane. To chyba jest odpowiedź na to pytanie.

Warszawa, 8 listopada 2005 roku  
Rozmowę prowadziła Iwona Brandt

UDOSTĘPNIJ



Z FORMACJI



**Józefa Lissowska**

„Ziuta” [Zobacz wywiad](#) →

---



**Wiesław Kasprzykowski**

„Ostoja” [Zobacz wywiad](#) →

---



**Władysław Rudziński**

„Jastrząb” [Zobacz wywiad](#) →

---



**Irena Maria Szpak**

„Iрка” [Zobacz wywiad](#) →

---

## ZOBACZ TAKŻE



**STRZELEC, SANITARIUSZKA**

**EWA ORLIKOWSKA-KRASNOWOLSKA „EWA”, „MARIA”**

Nazywam się Ewa Orlikowska-Krasnowolska, pseudonim powstańczy „Ewa-Maria”. Urodziłam się w Kowlu 12...

[więcej](#) →

---

**KAPRAL, DOWÓDCA PLUTONU Ł...**

**WITOLD PIASECKI „WIKTOR”**

Witold Piasecki, urodzony w 1927 roku, pseudonim „Wiktor” oraz numer 7529. Funkcji miałem więcej niż...

[więcej](#) →

---



Nazywam się Zuzanna Stromenger, urodzona 28 grudnia 1925 roku w Warszawie. W jakim była pani oddziale?...

[więcej →](#)

---

#### PLUTONOWY PODCHORAŻY

ELIGIUSZ BRULIŃSKI „ZARZYCKI”

Eligiusz Bruliński urodzony 23 listopada 1923 roku w Warszawie, pseudonim „Zarzycki”. Rozpocząłem...

[więcej →](#)

---



Copyright 2016@Muzeum Powstania Warszawskiego

#### GODZINY OTWARCIA

Pon., śr., pt.: 10.00-18.00

Czw.: 10.00-20.00

Sob., niedz.: 10.00-18.00

Wt.: nieczynne

---

#### ADRES

MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

ul. Grzybowska 79

00-844 Warszawa

tel.: 22 539 79 05/06

e-mail: kontakt@1944.pl

---































